

NIE
MUSISZ
BYĆ
DOSKONAŁY

Chrześcijański sposób
na perfekcjonizm

Dariusz Piórkowski SJ

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2019
Wydanie drugie, uzupełnione, 2022

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku:
CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz
Projekt okładki: Pola Rusiłowicz

ISBN 978-83-277-3227-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: EKODRUK • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g wol. 2.o
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

A wszystko to z miłości

Musimy zrozumieć, że chrześcijaństwo
nie jest religią ludzkiego wysiłku,
lecz religią łaski

Jacques Philippe

Jak to dobrze, że Pismo Święte nazywa miłość i chrześcijaństwo drogą (1 Kor 12,31; Dz 9,2). Na szczęście w naszym świecie nic nie musi być natychmiast doskonałe. I nigdy nie będzie. Wszystko ma tutaj swój rytm, porę i miejsce, choć zdaje się, że nie zawsze szanujemy te prawa. Poganianie, naciąganie czy, nie daj Boże, wymuszanie pewnych procesów to w naszym świecie niemal norma. Taka postawa nie przyczynia się też do postępu w wierze. Dlaczego Pismo Święte nie grzeszy niecierpliwością? Bo chce nam wpoić, że Bóg naprawdę potrafi czekać. Jemu nigdzie się nie spieszy. Dobrze Mu z tym, co i jak stworzył. Przecież żyjemy w świecie, w którym jabłko spada z drzewa na ziemię, a czas odmierzają ruchy ciał niebieskich. To pocieszające, że właśnie z tego powodu nie musimy sobie konstruować sztucznego

I. Diagnoza perfekcjonizmu

nieba na ziemi. A jednak coś w nas odrzuca ten Boży projekt. Niezmordowanie ulepszamy w swojej głowie samego Stwórcę. Naprawiamy w teorii i praktyce „defekty” natury, chcemy skorygować duchowe prawa królestwa niebieskiego. Czasem wolilibyśmy, żeby sprawy dojrzewały szybciej, zwłaszcza gdy coś nas gnębi albo niepokoi. I zabieramy się do dłubania w glinie świata po swojemu. Sami. Jak Syzyf nadwerężamy mięśnie ducha i wtaczamy kamień na górę, sądząc, że właśnie tam kazał nam się wdrapać Bóg, bo któż by inny. Czasem zdążymy już mocno posiwieć, zanim zorientujemy się, że to nieprawda.

A Bóg się tym nie zraża. Na szczęście. Jest na swój sposób uparty. To niezłomny tytan cierpliwości. Jezus wiele uwagi poświęca w swoich przypowieściach czekaniu na owoce, na plony, na powrót syna, na zgodę człowieka, na szukanie skarbu i domu. Odślania w ten sposób wnętrza Boga. Święty Mateusz widzi w działaniu Jezusa spełnienie proroctwa Izajasza: „Trzciny zgniecionej nie złamie ani knota tlejącego nie dogasi” (Mt 11,20). Ta Boża delikatność, która nawet w kruchości i nikłym płomyku potrafi znaleźć przeblysłk dobra, porusza mnie od niedawna. Nie tak wyobrażałem sobie kiedyś naszego Stwórcę.

Wyruszymy w drogę z licznymi zakrętami. Czasem pójdziemy pod górkę, nieraz w dół, a najczęściej zwyczajnie, prosto, bez zadyszki. Wejdziemy przez bramę Biblii. Na początku spotkamy się z „perfekcyjną” trójką. Cudzyśłów i pisownia wskazują, że nie chodzi o Boga w trzech Osobach. Mam na myśli trzy postaci z Nowego Testamentu, które szczerze pokochały Boga i samego Jezusa: Piotra, Pawła i Martę, siostrę Łazarza. Wszyscy, jak sądzę, w różnym stopniu i okresie swego życia zmagali się z pewną

duchową przypadłością. Doświadczyli jej skutków na własnej skórze, a uzdrowienie ostatecznie przyszło ze strony Jezusa. Nie nazywam ich perfekcyjnymi dlatego, że byli doskonali, ale dlatego, że wszyscy w którymś momencie życia pragnęli się wykazać. Przy okazji boleśnie doświadczyli tego, czego pewnie nie chcieli bądź nie mogli wcześniej w sobie zobaczyć. Nie twierdzę, że wszystko z góry zaplanowali. Po prostu tak wyszło. Raczej kierowali się dobrą wolą, chcieli jak najlepiej.

Zacznijmy od tego, który chyba najbardziej poczuł na sobie skutki tej choroby. Kiedy Jezus bierze misę i prześcieradło, aby w geście miłości umyć apostołom nogi, Piotr – zdaniem św. Ignacego – „zważywszy majestat Pana i swoją niskość, nie chciał się zgodzić”¹. Tak naprawdę sprzeciwia się jeszcze z innego powodu. Przeszkoda tkwi w jego myśleniu. Panują tam inne standardy wielkości. Piotr stawia siebie w pozycji dawcy. Chce grać pierwsze skrzypce, zwłaszcza że całkiem niedawno Jezus wyznaczył go przecież na tego, który ma świecić przykładem. Uderzająca jest owa kategoryczność Piotra, wymieszana z porywcznością i zmiennością (przynajmniej w pewnych sprawach): „Nie, nigdy mi nie będziesz nóg umywał” (J 13,8) – broni się rękami i nogami. To nie pierwszy raz. Pod Cezareą Filipową też miał inne zdanie na temat poczynań Mistrza. Wielkodusznie nie życzył Mu cierpienia i śmierci, bo dlaczegóż by miał, skoro Go pokochał? I zaklinał Jezusa na wszystkie świętości: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie” (Mt 16,22). Trzeba przyznać, że myciem nóg Jezus prowokuje uczniów, wydobywa z nich to, co blokuje ich przed przyjęciem daru. I udało się. „Nigdy” Piotra ponownie ujrzało światło dzienne. Teraz nastąpi ciąg dalszy.

I. Diagnoza perfekcjonizmu

W Ewangelii według św. Łukasza Jezus, który siedzi przy stole, zwraca się do pierwszego z apostołów, używając jego „starego” imienia: „Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, aby was przesiał jak pszenicę” (Łk 22,31). Piotr zapewne nie ma pojęcia, o czym Nauczyciel mówi. A zwraca mu uwagę, że niebawem dojdzie do wewnętrznego oczyszczenia wszystkich uczniów. W takim kontekście pada zapowiedź upadku Piotra, który póki co ufa, że jest samą pszenicą, bez żadnej domieszki plew. W każdym razie woli tak siebie postrzegać. Przesiać pszenicę to oddzielić ziarna od plew. Nie istnieje łagodny sposób przeprowadzenia tej operacji. Ponieważ słowa nie docierają, przesianie plew musi zboleć i zedrzyć maskę nieświadomości. Próba jest konieczna, aby Piotr poczuł skruchę. Na razie gra twardego, stara się na ludzki sposób być skałą. Bez większych ceregieli wypala więc do Jezusa: „Panie, z Tobą gotów jestem iść nawet do więzienia i na śmierć” (Łk 22,33). Według wersji św. Mateusza sprawa wygląda bardziej dramatycznie. Piotr chce się wysforować, przecież jest pierwszy, lepszy niż jego bracia: „Choćby wszyscy zwątpili w Ciebie, ja nigdy nie zwątpię. Choćby mi przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie” (Mt 26,33.35). W tekście oryginalnym czytamy o „zgorszeniu”, nie o „zwątpieniu”. Tylko Mateusz dodaje, że inni uczniowie nie zamierzali zostawać w tyle i też zapewniali, że oddadzą życie razem z Jezusem. Gdy św. Jan pisze o księciu apostołów, atmosfera naprawdę już gęstnieje. Piotr podnosi poprzeczkę na najwyższy poziom. Umiłowany uczeń pragnie nie tylko umrzeć z Jezusem, ale wręcz umrzeć zamiast Niego. Chce wyprzedzić nie tylko innych uczniów, ale samego Jezusa. Zarzeka się więc wobec wszystkich: „Życie moje oddam za Ciebie” (J 13,37).

Piotr napina się jak struna. Próbuje przeskoczyć siebie, zrobić więcej, niż może, i to przed wyznaczonym mu czasem. Ironii całej sytuacji dodaje fakt, że wszystkie te słowa wypowiada w porywie miłości, szczerze, nie znając jednak siebie.

Po zmartwychwstaniu, a więc zaledwie dwa dni po solennych obietnicach Piotra i jego porażce, Jezus ze spokojem wraca do drażliwego tematu. Pyta go: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz mnie więcej aniżeli ci?” (J 21,15). Delikatne podejście do sprawy. Między wierszami można wyczytać lekką ironię: „Czy nadal uważasz, że jesteś lepszy od innych?”. O swojej zdolności do tej heroicznej miłości Piotr zawzięcie starał się przekonać Jezusa. Mniemał, że w przeciwieństwie do pozostałych gotów był do radykalnych poświęceń, choć Jezus wcale tej ofiary od niego nie oczekiwał. Po wylaniu morza łez Piotr trochę przyhamował. Już nie jest pewny swej miłości. Nie porównuje się z innymi i nie uważa, że może sam wyjść przed szereg. Z pokorą przyznaje się do swojej kruchej miłości do Jezusa: „Niestety, nie Kocham Cię bardziej niż inni, ale wciąż Kocham. Dzięki Tobie”.

Znamy zapewne grę słów, którą św. Jan stosuje w tej scenie. Jezus pyta najpierw o miłość bezinteresowną (*agapeis me*), a Piotr odpowiada, że Kocha (*filo se*) Mistrza, ale miłością niedoskonałą, niedojrzałą, nie na tyle, aby oddać za Niego życie. Za trzecim razem Jezus zniża się do poziomu Piotra i oczekuje zapewnienia, że apostoł Kocha Go przynajmniej po ludzku, przy całej swojej słabości. Piotr niezmiennie wyznaje, że na razie tylko w ten sposób potrafi Kochać. Coś w nim pękło. Już nie staje na rękach. I taka miłość póki co Jezusowi wystarczy. Także do tego, by apostoł mógł owocnie wypełnić swoją misję. Ta scena opisuje

I. Diagnoza perfekcjonizmu

pewną duchową prawidłowość. Bóg często dostosowuje się do naszego rytmu, słabości i zdolności, a my sądzymy, że powinniśmy sprostać jakimś Jego niebotycznym wymaganiom. Czy często nie stajemy się nieudolnymi naśladowcami Piotra, którzy chcą uczynić dla Boga i innych to, czego ani Bóg, ani inni od nas w ogóle nie oczekują?

Drugi filar Kościoła, Paweł, wspomina, że dostał miłosierdzia, „ponieważ działał z nieświadomością, w niewierze” (1 Tm 1,13). Jak to? Przecież był wyróżniającym się faryzeuszem. Sam powiada przed Żydami, że „gorliwie służył Bogu” (por. Dz 22,3). Mówi o sobie, że „co do sprawiedliwości legalnej” stał się bez zarzutu (Flp 3,6). Doskonale zachowywał Prawo Mojżeszowe. Chodzący ideał, któremu Bóg powinien był dawno temu postawić pomnik. To starszy syn z przypowieści o miłosiernym Ojcu, który „nie przekroczył nigdy żadnego nakazu” (por. Łk 15,29). Szawel nie lubił przeciętności. Od środka rozpierała go święta ambicja. Przekonany o słuszności sprawy, uległ pasji oczyszczenia świata z tego, co jego zdaniem było nieczystością. Nic dziwnego, że nadał się w sam raz na inkwizytora ówczesnego judaizmu i wychowawcę późniejszych kościelnych tropicieli herezji. Z „niezwykłą gorliwością” (Ga 1,13) zwalczał Kościół Boży, rozpalając przez lata ogień legalizmu. Wyznaje bowiem po nawróceniu: „w żarliwości dla judaizmu przewyższałem wielu moich rówieśników z mego narodu, jak byłem szczególnie wielkim zapaleńcem w zachowywaniu tradycji moich przodków” (Ga 1,14). Porównywał się ze współziomkami, skoro uważał, że bił ich wszystkich na głowę. Podobnie jak Piotra. Chciał być od nich lepszy. Nic dziwnego, że „dyszcząc żądzą zabijania” (por. Dz 9,1), osobiście

poprosił arcykapłana o wyznaczenie go do misji „uprzątnięcia” Jerozolimy i okolic z chrześcijan. Nie mógł znieść ich widoku. Czyż ich wyłapanie nie przysporzyłoby mu chwały godnej orderu?

W Szawle jak w soczewce skupiły się „ogniste” cnoty: gorliwość, żarliwość i zapał. Sygnalizowały jego niezwykłą energię i silną motywację. To one sprawiły, że parł do przodu jak taran. Cóż się jednak stało z tym pobożnym Żydem, skoro cały ten zysk i swoje wyczyny nagle uznał za śmieci (Flp 3,8)? Wszystkie jego dotychczasowe wysiłki zbladły w porównaniu z darem Chrystusa. Jakiego wstrząsu musiał doznać Szawel, skoro nie bał się podważyć największego skarbu judaizmu – Prawa, i stwierdzić, że stało się „przekleństwem” (por. Ga 3,13), które nie może zbawić człowieka? Niby wszystko było w porządku, a jednak Paweł ocenił, że całe jego dążenie do doskonałości było pogonią za wiatrem. Wykrzyknął w sercu jak Kohelet: „Marność nad marnościami – wszystko jest marnością” (Koh 1,2). Cóż takiego się zdarzyło, skoro po latach Paweł za pierwsze imię miłości uznał cierpliwość? Czy należy go potępiać za jego gorliwość? Nie. Czy to źle, że starał się ze wszystkich sił? Nie.

Problemem była motywacja, która okazała się fałszem. Gdy Jezus ukazał się pod Damaszkiem przyszłemu apostołowi, nie oznajmił mu bez ogródek: „Szawle, Ty mnie prześladujesz”, lecz zadał pytanie: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” (Dz 9,4). W ten sposób Jezus zmusił go do refleksji. Odebrał mu wzrok na parę dni, ponieważ widzieć to wiedzieć. Nie każda wiedza jest zbawienna. Oczy Piotra obmyły łyzy. Oczy Pawła wymagały poważniejszej ingerencji. Właśnie w tej ciemności Paweł

I. Diagnoza perfekcjonizmu

musi najpierw zrozumieć, dlaczego tak postępował. Światło Jezusa spowodowało załamanie całej wiedzy, na której gorliwy faryzeusz opierał swe życie. I tak Szaweł przeszedł od „sprawiedliwości, pochodzącej z Prawa” do „bezcennego daru poznania Jezusa Chrystusa” (por. Flp 3,8).

Te dwa przykłady uczniów mogłyby wywołać wrażenie, że problem wykazania się dotyka jedynie mężczyzn. Nic bardziej mylnego. Istnieje jeszcze epizod z Martą, która przyjmuje do swojego domu Jezusa z uczniami (por. Łk 10,38–42). Jako gospodyni wychodzi ze skóry, by odpowiednio ich przyjąć. Tak nakazuje zarówno Prawo, jak i obyczaj. To typ człowieka, który uważa, że aby było dobrze, wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Nie można sobie pozwolić na żaden blamaż, nie ma zgody na niedociągnięcia i pomyłki. Jak by to wyglądało: sprasza gości, a nie może sprostać obowiązkom gospodyni. Marta biega tam i z powrotem w napięciu, podenerwowana, niepewna, czy zdoła wypełnić wszystko, jak należy.

Temperatura rośnie, gdy Marta łypie okiem na Marię, która słucha Jezusa i „nic” nie robi. Ten spokój siostry ją denerwuje. Ale jeszcze bardziej dręczy ją zachowanie Jezusa. I właściwie z Nim ma teraz większy kłopot niż z Marią. Zaprosiła Jezusa w gościnę, a ni stąd, ni zowąd zarzuca Mu, że On stał się przyczyną jej cierpienia i osamotnienia. Zagoniona gospodyni występuje z oskarżeniem o bierność i z żądaniem naprawienia kłopotliwej dla niej sytuacji: „Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu?” (Łk 10,40). Marta, podobnie jak Piotr, próbuje przywołać Jezusa do porządku, wytłumaczyć Mu, że tak się nie postępuje. Jak można przymykać oczy na rażące

zaniedbanie? Jedna słańia się na nogach, a druga siedzi jakby nigdy nic. Ukrytym pragnieniem Marty jest to, aby Jezus ją pochwalił, a Marii utarł nosa za jej niefrasobliwość. W tym miejscu przypomina się przypowieść o miłosiernym Ojcu i oburzenie starszego syna, który również ma swemu rodzicielowi za złe, że ten nie dostrzega jego wysiłków i wzorowej służby w domu. Ojciec nie gani syna za pracowitość, ale dyskretnie odsłania mu motyw, dla którego syn podejmuje tę pracę. Dar już jest. Dom stoi otworem dla niego i wszystkie dobra ojca są dostępne bez konieczności ubiegania się o nie jakimkolwiek wysiłkiem.

Jezus, dwukrotnie wypowiadając imię Marty, daje jej do zrozumienia, że najpierw musi się zatrzymać. I raczej przyswoić sobie nieco z postawy Marii, która, jak wiemy, na kilka dni przed śmiercią Jezusa w tym samym domu obmywa Mu nogi i namaszcza drogim olejkiem (por. J 12,3). To zachowanie też nie przypadło do gustu uczestnikom uczty. Maria najpierw jednak słuchała słów Chrystusa i rozważała je. Szacowny gość Marty taktownie zauważa: „Niepokoisz się o wiele”. Marta za wszelką cenę chciała zrobić więcej, niż potrzeba. Musiała być szczerze zdziwiona, kiedy Jezus dostrzegł w jej wyrzucie nieuświadomiane motywy. Dlaczego człowiek uważa, że potrzeba więcej i więcej? Dlaczego chce „wiele”, choć wystarczy mało, zwłaszcza że próbuje wtedy cały świat podporządkować sobie, żeby to uzyskać?

Marta symbolizuje specyficzną postawę duchową, w której koncentrujemy się głównie na tym, co my, w dobrej wierze, powinniśmy zrobić dla Boga i innych. Czasem przybiera to formę aktywizmu, który maskuje duchowe lenistwo. Marta na swój sposób chciała umrzeć za Jezusa, tyle że nie było w tym jeszcze

I. Diagnoza perfekcjonizmu

prawdziwej miłości, lecz zakochanie we własnym „ja”. Wysoko postawiła sobie poprzeczkę, a wszystkich wokół chciała uszeregować według własnej hierarchii celów. Maria była „niesforna”, bo nie spełniła standardów Marty. Świadczą o tym pretensje, które wylały się z ust gospodyni. W rzeczywistości Marta dokładała wszelkich starań, aby pozostać w centrum, jak dziecko, które domaga się uwagi dorosłych. Marii wizyta Jezusa w ich domu kojarzyła się z radością, podczas gdy w Marcie wywołała mieszane uczucia: trochę radości i ekscytacji, ale chyba więcej trudu i utrapienia, jakby ktoś obarczył ją ciężarem nie do udźwignięcia. Zdarza się, że człowiek, wiedziony jakimś wewnętrznym impulsem, chce się innym przysłużyć, ale później ma pretensje, że nikt mu nie pomógł i nie dostrzegł jego poświęcenia. To znak, że tam wcale nie chodzi o dobro innych.

Jezus nigdy nie mówił, abyśmy porzucili marzenia o byciu wielkimi i pierwszymi. Obiecywał też nagrodę za zaangażowanie. Więcej uwagi poświęcił jednak temu, jak tę nagrodę „wypracować”. Bo tu jest pies pogrzebany. We wszystkich trzech przypadkach problemem nie jest samo działanie, lecz wewnętrzne nastawienie, które do niego popycha. Jezus, dwukrotnie wypowiadając imiona: Szymonie, Szymonie! Szawle, Szawle! Marto, Marto!, w decydującej chwili ingeruje w ich dotychczasowe życie. Takie powtórzenie imienia jest oznaką bliskości. Do nikogo innego Jezus w ten sposób się nie zwraca. Upomina swoich przyjaciół stanowczo, ale też z niezwykłą czułością. Nie łamie karków. Nie przygina do ziemi. Nie gani ich z poczuciem wyższości. Nie dziwi się ich zachowaniu. Nawet do Szawła, który przecież uczynił Jezusowi wiele złego, zwraca się z łagodnością.

Piotr rybak, Paweł faryzeusz, Marta gospodyni. Na pozór wydaje się, że są od siebie odlegli jak Ziemia od Słońca. Łączy ich jednak (Paweł trafił do tej grupy jako maruder) wiara w tego samego Jezusa. I jeszcze coś bardziej pierwotnego, ogólnoludzkiego. Wszyscy chcieli się w jakiś sposób odznaczyć. Wszyscy kierowali się dobrą wolą. Wszyscy byli nieświadomi tego, co w nich drzemie. Wydawało im się, że tryskają samą miłością, lecz w rzeczywistości odzywał się w nich jakiś ukryty nerw, który byli skłonni utożsamiać z najszczytniejszymi motywacjami. Ten „niechciany” i nieświadomy „dodatek” ujawnił się dopiero w sytuacji granicznej, w kryzysie wywołanym po części przez samego Jezusa. Piotrowi oczy zalały się łzami, kiedy ulegając własnemu lękowi na dziedzińcu pałacu arcykapłana, ujrzał przechodzącego Chrystusa (por. Łk 22,61–62). Paweł oslepl (ciekawe, co sobie w tej chwili pomyślał), kiedy Zmartwychwstały wszedł mu w paradę pod Damazkiem. Marta zrobiła wielkie oczy, zdziwiona, że Jezus nie pozwolił się wciągnąć w siostrzane rozgrywki. We wszystkich przypadkach wyzwolenie nie przyszło dzięki ich wysiłkom.

Opisane pokrótce przejścia Piotra, Pawła i Marty to biblijne archetypy religijnego perfekcjonizmu, który dotyka wielu współczesnych chrześcijan. Tę trudno wykrywalną, ale wcale nie rzadką chorobę jedni nazywają „schorzeniem prawości”, a inni „pasożytniczą naroślą na miłości”. Niektórzy święci nie obawiają się pisać w tym kontekście o „ukrytej pysze”, której człowiek pobożny w ogóle nie dostrzega. Jest to rodzaj „wysrubowania” duchowego, który ma wiele odcieni, często pozornie wykluczających się. Perfekcjonizm religijny dotyczy zwłaszcza osób, które chcą dobrze i postępują w dobrej wierze. W którymś

I. Diagnoza perfekcjonizmu

momencie, o zgrozo, chcą nawet lepiej niż dobrze. Z początku trudno wykryć w tym cokolwiek niebezpiecznego, ponieważ perfekcjonizm kryje się za parawanem pozornego dobra. Dlatego zdiagnozowanie tej przypadłości wymaga bardziej wnikliwego rozeznania duchowego.

Na ten szczególny przypadek zwraca uwagę św. Ignacy Loyola, kiedy pisze w *Ćwiczeniach duchowych* o subtelnym sposobie działania złego ducha w stosunku do osób, które „wznoszą się od dobrego do lepszego”²: „Anioł zły ma tę właściwość, że się przemienia w anioła światłości i idzie najpierw zgodnie z duszą wierną, a potem stawia na swoim; a mianowicie podsuwa jej myśli pobożne i święte, dostrojone do takiej duszy sprawiedliwej, a potem powoli stara się ją doprowadzić do swoich celów”³. Najczęściej wydaje nam się, że grzech spada na nas jak grom z jasnego nieba. Owszem, pewne grzechy pojawiają się nagle, ale większość z nich dojrzewa powoli. Grzech też ma swoją drogę. Taktyka zła w odniesieniu do tych, których nie da się wpędzić w rażące wykroczenia moralne, jest rozłożona w czasie. Diabeł uważa, że czasem lepiej poczekać i nie odsłaniać przyłbicy od razu, aby upadek był boleśniejszy i na trwałe powalił człowieka. Dostosowuje się wtedy do dobrych pragnień wierzącego. I tak ktoś pod pozorem czynienia dobra może nagle zapragnąć więcej modlitwy w ciągu dnia albo nie zważając na okoliczności, zapoczątkować jakieś wspaniałe dzieło w swoim życiu. Jeśli spontanicznie i bez zastanowienia pójdzie za takim impulsem, może napytać sobie biedy. Tyle że nie zobaczy tego od razu. Na tym polega pułapka. Z czasem zupełnie niepostrzeżenie coś się „przyczepia” do naszych początkowo szczytnych pragnień, często

nie wiemy kiedy i jak. Zwłaszcza wszelkie pobożne i ratujące świat inicjatywy wydają się zwykle cenne i słuszne. Najważniejsze, aby były właściwie uzasadnione. Czyż Piotr, Paweł i Marta nie chcieli dobrze?

Oczywiście przypisanie perfekcjonizmu wspomnianym wyżej uczniom Jezusa jest celowym „naciąganiem” z mojej strony. Zdaję sobie sprawę, że tego słowa nie znajdziemy w Piśmie Świętym. To twór epoki nowożytnej, choć pochodzący od łacińskiego zbioru słów: *perficere* – „doprowadzić do pełni, dojść do celu” czy *perfectio* – stan, kiedy komuś lub czemuś niczego już nie brakuje. Chociaż dążenie do doskonałości jest rzeczą naturalną, a zarazem głęboko ewangeliczną, perfekcjonizm jest według mnie przesadnym dążeniem do bycia idealnym, związanym zwykle z silną motywacją, utrudniającym lub uniemożliwiającym sprawne działanie i osiągnięcie wyznaczonego celu. Nie przyjmuje do wiadomości tego, że miłość ma różne odcienie i dojrzewa stopniowo. Nie widzi życia jako drogi, lecz poniekąd hołduje magicznemu podejściu do rzeczywistości, w którym natychmiastowość jest w najwyższej cenie. Chrześcijańska doskonałość nie zna presji, podczas gdy w perfekcjonizmie najbardziej dręczy jakiś wewnętrzny przymus, często przebrany w szaty „woli Bożej”.

Nazwy „religijny” używam, by odróżnić ten typ perfekcjonizmu od jego psychologicznego bliźniaka, choć w praktyce oba mogą współistnieć i wzajemnie się wspierać. Perfekcjonizmu w znaczeniu psychologicznym nabywamy w trakcie wychowania, wgrywamy go sobie już od dzieciństwa, zachowując się w sposób narzucany przez rodziców, kulturę, mody i opinie. Podobieństwa

I. Diagnoza perfekcjonizmu

są ogromne, czasem oba perfekcjonizmy zachodzą na siebie, ale jednak kierują się nieco innymi motywacjami. Ciekawe byłoby przebadanie tego, jak się wzajemnie warunkują. To temat na odrębną książkę. Chociaż w obu formach perfekcjonizmu brakuje równowagi między przyjmowaniem a dawaniem, mnie jednak bardziej interesuje jego religijna wersja, która ma głębsze korzenie, nie zawsze związane z wychowaniem. W każdym razie perfekcjonizm religijny może zostać wzmocniony perfekcjonizmem psychologicznym, zwłaszcza gdy nasze ludzkie negatywne doświadczenia przekładamy na obrazy Boga.

Oczywiście nie ma jednej przyczyny tego fenomenu. Często stoi za nim cały bagaż religijnych pojęć, a także fałszywe wyobrażenia o Bogu, które nigdy nie zostały zrewidowane, oraz przyjęcie okrojonej wersji Ewangelii. Najsilniejszy sprzymierzeniec perfekcjonizmu to lęk nieustannie wprawiający w ruch mechanizmy fałszywej doskonałości. Jednym z nich jest porównywanie się z innymi, które w zależności od tego, kogo mamy na celowniku, albo demobilizuje, albo jeszcze bardziej rozdyma naszą próżność. Bierze się to najczęściej z braku wglądu we własną niepowtarzalną wartość. Człowiek musi ją wtedy tworzyć „sztucznie” przez własne osiągnięcia. Dobrze obrazuje to zachowanie faryzeusza w świątyni, dystansującego się od całej masy nieudaczników moralnych i stwierdzającego z dumą: „Nie jestem jak inni ludzie” (por. Łk 18,11). Faryzeusz cieszy się, że mu się tak powodzi. To bardziej „pyszna” odmiana perfekcjonizmu. Jestem lepszy, ponieważ się staram. Ale częściej chyba wpada się w drugą skrajność: „Nic mi nie wychodzi. Tamci na pewno lepiej się modlą, nie mają takich trudności i są już bardziej zaawansowani”.

Perfekcjonista religijny w doskonałości widzi tylko zadanie, a nie dar. Bóg najpierw żąda, a potem ewentualnie daje coś w nagrodę. Nigdy na odwrót. Taki człowiek sądzi, że jest kochany warunkowo, nie tylko przez rodziców czy innych ludzi, lecz także przez Boga. Kłopot w tym, że często świadomie wcale tak nie uważa. Doskonale wie, co należy sądzić, i może powiedzieć, że jest kochany, że łaska jest najważniejsza, że trzeba się na nią otworzyć itd. Ale w otchłaniach serca, w lochach nieświadomości wciąż czai się mały, poraniony i niekochany człowieczek, który tę kolejność nieustannie przestawia, podsuwa czarne myśli, zniekształca to, co słyszą uszy.

Pobożniejszy perfekcjonizm czasem nakazuje wierzącemu człowiekowi spalać się i poświęcać dla innych za wszelką cenę. Jak to wspaniale być dobroczyńcą i zbawicielem ludzkości. Szkopuł w tym, że perfekcjonista wymaga od siebie za dużo, ponieważ nie jest jeszcze na to gotowy. Lekceważy własne słabości, ponieważ wkoło tyle potrzeb... W sumie to niezwykle męcząca misja. Jeśli ktoś uzna się za mesjasza, może się obarczyć winą za niemal każde zło. Perfekcjonista moralny nie wie, gdzie leżą granice odpowiedzialności i doskonałości. Dlatego szczególnie lubi prawo. Porusza się głównie w jego ramach. Wszystko chciałby mieć zakreślone i uszeregowane. Żadnej dwuznaczności, żadnych wątpliwości. Brak jasnych reguł postępowania to dla niego skok w przepaść.

Mentalność ta, chociaż głęboko zakorzeniona w naszym myśleniu, przejawia się na wiele sposobów także w naszych czynach. W nadgorliwości albo jej braku. W rygoryzmie albo obojętności. W zapracowywaniu się lub ciągłym odkładaniu na później.

I. Diagnoza perfekcjonizmu

Wielu pobożnych chrześcijan zamęcza się tym, że nie są takimi, jakimi chcieliby być. Popadają w zniechęcenie, bo wprawdzie często mają pragnienie poświęcenia swego życia Jezusowi, ale równocześnie czują się pozbawieni środków, które pozwoliłyby im to zamierzenie zrealizować. Dlatego smucą się, że mimo wysiłków ciągle odstają od ewangelicznych ideałów. Jakiś wewnętrzny niepokój bez ustanku popycha ich do „przymuszania się, by być lepszym”⁴. Jeśli niewiele z tego wychodzi, w ruch idzie wewnętrzny bicz. Człowiekiem targa niecierpliwość, a czasem pogarda do samego siebie. Niektórzy nie potrafią znieść narastających rozproszeń podczas modlitwy. Trapią się tym, że ciągle spowiadają się z tych samych grzechów i wcale się nie poprawiają, chociaż nie chcą grzeszyć. Im bardziej się starają, tym większe rozczarowanie ich dopada. Cierpią, gdy inni nie zauważają ich wysiłków, albo zadręczają się, gdy nie widzą wyników swojej duchowej pracy. W lot wychwytyują wszelkie słabości, niedostatki i braki w swoim otoczeniu. Chcieliby wszystko szybko podrasować. Towarzyszy temu często poczucie niegodności i odrzucanie tego, że wiara i doskonałość są drogą.

Ostatecznie perfekcjonizm duchowy polega nie tyle na tym, że człowiek dąży do poprawy, do zdobycia cnót, ile raczej na niezadowoleniu, że poprawa nie rzuca mu się w oczy. Właściwie pomimo machania skrzydłami i ogromnej energii, którą się na to poświęca, stoi się w miejscu. Pojawia się złość, że nasze postawy i czyny nie za bardzo pokrywają się z wymarzoną lub „w mówionym” nam wzorcem. Nie czujemy się dobrze we własnej skórze. Dotyka to zwłaszcza ludzi emocjonalnie i duchowo wrażliwych, którzy czują, widzą i pragną więcej. Z tego

też powodu są bardziej podatni na zranienie, ponieważ chłoną wszystko jak gąbka. Wrażliwość jest lepsza niż gruboskórność i bycie jak z kamienia, ale musi ją wypalić oczyszczający ogień.

Celem perfekcjonistycznego kołowrotu jest zniechęcenie. To subtelny demoniczny sposób na złamanie tych, którzy chcą więcej, aby już nigdy nie chcieli. Nie chodzi o przelotne uczucie, ale o chroniczny stan duchowy, w którym człowiek kapituluje, odmawia podążania drogą wzrostu. Zniechęcenie, córka rozpacz, w swej szarzyźnie ma jednak pewne odcienie: pierwszym jest bierność (kwietyzm), czyli postawa, w której z obawy przed błędem człowiek całkowicie zdaje się na łaskę Bożą, ale bez osobistej współpracy. Druga skrajność to aktywizm, który zagłusza ciągle odzywającą się presję wewnętrzną i poczucie porażki. W końcu trzecia opcja, najgorsza, kiedy człowiek w ogóle niczym się nie przejmuje i poddaje się rozpacz. Wielu zniechęconych chrześcijan to ofiary perfekcjonizmu. Najtragiczniejsze w tym wszystkim jest to, że niewiele w tym ich winy. Porównując ideał z własną słabością, zastygają w działaniu, zadowolają się przeciętnością, nawet jeśli czasem poczują jakiś przelotny wewnętrzny impuls. Z gorliwości ostał się popiół. Czują się tak, jakby kły ideałów rozszarpały ich na kawałki.

Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że na krótką metę, paradoksalnie, lepiej się czujemy uwięzieni w perfekcjonizmie niż w pokornym uznaniu swoich słabości, ograniczeń i zdaniu się na miłosierdzie Boże. Wydaje nam się, że jak się będziemy bardziej starać, jak się usztywnimy, to będziemy milsi Bogu. Perfekcjonizm napina, a chodzi o to, by się najpierw wewnętrznie rozluźnić. Dobra wiadomość, jaką chciałbym przemycić, jest taka:

I. Diagnoza perfekcjonizmu

z perfekcjonizmu religijnego można wyjść. To rodzaj duchowego cierpienia. Czasem wyzwolenie zapoczątkowuje jakiś psychiczny lub duchowy wstrząs, doświadczenie straty czy kryzysu, kiedy podobnie jak Don Kichotowi otwierają nam się oczy i nagle widzimy, że olbrzymy, z którymi do tej pory walczyliśmy, to tylko drewniane wiatraki. Cały ten proces jest zwykle związany z drogą wytrwałej modlitwy i oczyszczenia mocą sakramentów, kiedy to Bóg przybliży się do człowieka i stopniowo wydobywa na powierzchnię ukrytą pychę i wewnętrzny nieład. Często bywamy też zakładnikami fałszywego obrazu Boga lub moralności pozbawionej ducha. Światło Słowa Bożego przebija w końcu pancierz i dociera do miejsc, które dobrze się w nas „okopały”, karmione kłamstwem przebrany w szaty prawdy. O tym, w jak przedziwny sposób rodzi się perfekcjonizm i jak Bóg cierpliwie rozbija tę tykającą w nas bombę, wyzwalając od lęku i męczącej presji, jest dalszy ciąg tej książki.

Spis treści

Wstęp 5

I. Diagnoza perfekcjonizmu 9

A wszystko to z miłości 11

Ślepy zaulek moralizmu 29

Gdybyś wiedział, po co sakramenty 49

Współczesny faryzeizm 54

Jansenizm 72

II. Źródła religijnego perfekcjonizmu 85

Kłamstwo na początku 87

Ukryta pycha 102

Bóg i grzech 109

III. Jak przezwyciężyć perfekcjonizm? 125

Pszenica i chwast 127

Kim jestem? – świadectwo mistyków 145

Kim jestem? – dar Chrystusa 163

Żyjemy dla Boga	176
Słaby Bóg, mocny człowiek	193
Wewnętrzne rozdarcie	203
Zapora przed pychą	210
Ograniczony, ale ukochany	216
Popękany gmach cnót	223
Przyznać się do słabości	231
Dmuchać i nie przestawać	244
Kontemplacja i wdzięczność	252
Jesteśmy pacjentami i lekarzami	264
O łagodności względem siebie	274
Doskonałość grecka a doskonałość biblijna	289
Przypisy	297